

Ballada o Szydłowcu. Pamiętnik z realizacji projektu.

październik 2001

Najpierw w pociągu zgasło światło... Otworzyłem dopiero co magazyn „Gazety Wyborczej”, zdążyłem tylko obejrzeć fotografie z reportażu o spektaklu w Sejnach z ośrodka Pogranicze. Gdy zabierałem się do tekstu w całym pociągu zgasło światło. Miałem przed sobą trzy godziny jazdy. Zacząłem sobie wyobrażać jak ten spektakl mógł wyglądać. Odtwarzałem nastrój miejsca, klimat odnajdywania w wielokulturowej przeszłości. Zapraǳałem sam stworzyć taki spektakl.

listopad 2001

Miesiąc później siedzieliśmy w małym mieszkaniu na Saskiej Kępie. Grupka przyjaciół, która zaraz będzie wprowadzać w życie wymyślone tu projekty. Postanowiliśmy znaleźć małe, wielokulturowe dawne miasteczko, w którym teraz prawie nic się nie dzieje.

I wtedy pojawił się Szydłowiec. Padał deszcz, pożyczonym od rodziców samochodem wjechaliśmy (ja i Marta) na rynek. Byliśmy umówieni z burmistrzem. Pani sekretarka przedstawiła nas jednemu z radnych „To ci Państwo od Żydów” - powiedziała. Radny, wąsik, żywe oczka, przywitał nas słowami „Ja to nie jestem antysemitą” i próbował nas namówić żebyśmy uczyli dzieci o „bogatej” historii Polski – Piłsudzki, Kościuszko – wskazując przez okno na pomnik tego ostatniego. Karłowaty pomnik Kościuszki, któremu zawsze ktoś odrywał szablę – pomyślałem sobie, że gdyby to był pomnik upamiętniający Żydów – ten wandalizm przypisywany byłoby polskiemu antysemityzmowi. A tak... „Mój syn tylko w tych komputerach siedzi. Za nic nie chce się uczyć o Piłsudzkim.” – podzielił się swoimi kłopotami wychowawczymi radny.

Szydłowiecki Dom kultury mieści się w olbrzymim zamku. Samo ogrzewanie korytarzy musi zabierać z 1 budżetu na kulturę. Zamek częściowo odbudowany, w połowie otynkowany. W gabinecie zobaczyliśmy uśmiechniętą kobietę w krótkich włosach, na wieszaku wisiał czerwony płaszcz ze skóry. Modliliśmy się, żeby to była pani dyrektor.

Potem odwiedziliśmy jeszcze dwie szkoły. Weszliśmy do pizzerii, gdzie na moment z brzydkiego zasnutego już mrokiem i deszczem Szydłowca zniszczonego peerelem weszliśmy do przytulnego i czystego pomieszczenia, w którym królowało MTV. Kylie Minoque wyglądała jakby pochodziła z dalekiej przyszłości, a przecież jej świat toczył się równolegle. W ekran wpatrzeni dwaj chłopcy, przyszli tu po lekcjach czekając na autobus. Ich ciemne kurtki, potargane, dawno nie strzyżone włosy sprawiały, że wtapiali się w obraz tego miasteczka. Zjedli swoje frytki i hot-dogi, żeby zaraz wsiąść na obdrapanym dworcu do starego autosana i wrócić do swoich wsi, do domów gdzie znowu usiądą przed telewizorem, żeby na moment zaistnieć w innym, lepszym świecie, do którego nigdy nie trafią. Powtórzą losy swoich ojców.

Kirkut. Olbrzymi cmentarz żydowski. Pierwszy raz zobaczyliśmy go po zmierzchu. Przejeżdżające obok samochody oświetlały na moment macewy wyodrębniając je z mroku. Na moment budziły duchy umarłych.

styczeń 2002

Hura! Dostaliśmy dotację.

Przyjeżdżam do Szydłowca w styczniu. Jadę pustym pociągiem osobowym. Podchodzi do mnie dwóch „kwadratów” i pytają o godzinę. „Nie mam zegarka” - mówię. Tym razem się udało. W ostatniej chwili wysiadam na stacji. Nigdzie nie widać napisu. Nocuję w bursie przy szkole zawodowej. W izolatce, obok gabinetu lekarskiego. Rano ustawia się tam kolejka chłopaków udających chorobę. Wszystko tu jest zasuszonym Peerelem – można otoczyć, malowane na brązowo ściany, ci młodzi ludzie, którzy udają, że się uczą, zawodu który im się nie przyda. Jest ósma rano. Bez śniadania idę do szkoły ale nikt nie pamięta, że się ze

mną umówił. Przyjechałem, zeby ustalić godziny zajęć, które rozpoczną nasz projekt. „Ballada o Szydłowcu” – tak się nazywa. Ale na razie mógłbym stworzyć balladę o Polsce B. Jak spod tego śmietnika PRL-u uda nam się wykopać ślady żydowskiej tu bytności.

Na ZAMKU spotykam się z licealistami. Przyszło ponad dwadzieścia osób. Deklarują pomoc w organizacji projektu. Po spotkaniu podchodzi Inga – nie chce uciekać z Szydłowca, chciałyby coś zrobić dla swojego miasta. Na liście kontaktowej ktoś maluje powieszoną gwiazdę Dawida. Spotykam się ze Sławą Hanusz nauczycielka historii, która stworzyła małe muzeum w piwnicy swojej szkoły. Idziemy tam. Oglądam jakąś gazetę. Dziwią mnie tytuły. Nagle spostrzegam datę. 1 września 1939 roku. Przechodzi mnie dreszcz. Dotknąłem historii. W piwnicy stoi stary, olbrzymi segment z apteki, który służył jako klatka dla kur. Jest część żydowska. Stare zdjęcia, dziennik polsko-żydowskiej klasy sprzed wojny, jest Tora (leży do góry nogami). Przyglądam się zdjęciom klasy polsko-żydowskiej. Czy ktoś z nich chłopców przeżył?

Przychodzą dzieciaki z teatrzyku. Wchodzimy do garderoby. Kupione przez Sławę w odzieży używanej ubrania grają w spektaklach. Sława nerwowo rozdaje ubrania. Wyciąga ze sterty jakąś koszulę. Każe przy mierzać. Dzieciaki marudzą. Podchodzi Tomek. Ma jedenaście lat i sepleni. Z wielką powagą i znanstwem opowiada o wojnie i Żydach. Proszę pana, a moja babcia mówiła, że w czasie wojny przechowywała najpierw Żyda a potem Niemca. „A moja babcia mówiła” – stało się później tytułem spektaklu Luby Zarembińskiej z Teatru Stacja Szamocin.

luty 2002

W Warszawie opracowaliśmy szczegóły projektu. Najpierw zajęcia o kulturze żydowskiej we wszystkich szkołach. Tak, żeby o projekcie dowiedziało się jak najwięcej dzieciaków i żeby nas zobaczyli na oczy. Wiemy, że w inny sposób nie przyciągniemy ich na warsztaty. Podczas dwugodzinnych zajęć opowiadamy o losach wymyślonej przez nas rodziny żydowskiej z Szydłowca. Opowiadamy o świętach, zwyczajach. Dzieciaki szaleją za dziewczynami, które na tablicy piszą ich imiona po hebrajsku. Plan zajęć przygotowały Zuza i Ania – studentki Międzywydziałowych Studiów Humanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Pokazujemy zdjęcia klasy polsko-żydowskiej „To oni są z Szydłowca?” – dziwią się dzieci oglądając swoich rówieśników sprzed wojny. Wielu z nich nie wie, że w ich mieście stoi jeszcze synagoga, prawie nikt o jednej z niewielu, jeżeli nie jedynej zachowanej w Polsce kuczce. Prowadzimy grę o stereotypach, o tym jak się tworzą, jaki jest stereotyp Polaka za granicą i dlaczego. Co zostanie w tych główkach – myślę gdy przebiegam między jedną a drugą klasą. W niektórych klasach zajęć nie da się prowadzić. Wystarczy jeden pozbawiony wszelkich granic chłopak, który popisuje się i rozprasza całą klasę. „Wyrzucił torbę nauczycielki przez okno i wyzwiał ją od k...” – dowiadujemy się od jego kolegów. Codziennie inna szkoła. Osiem godzin zajęć – ponad 1000 dzieciaków przez tydzień. Pod koniec prawie wszyscy chorujemy. Najgorzej jest w zawodówce. Znowu o nas zapomnieli. Czekamy na korytarzu. Woźny przegania uczniów do zimnej części szkoły. Widać kto tu rządzi. Główny korytarz ma być pusty. Nie można rozmawiać przez automat telefoniczny. Do szkoły uczniowie mogą wchodzić tylko bocznym wejściem. W kurtkach usiedliśmy w świetlicy. Z ust bucha para. Czekamy jak na wyrok. Pani dyrektor nie może z nami rozmawiać, bo szuka klasy, która jej zginęła. W końcu podchodzi jedna z polonistek. Jest właścicielką kuczki i bożnicy. Zaprasza nas do siebie wieczorem. Wszyscy patrzą na nas jak na ufo. Ufo, które opowiada o Żydach – to chyba za dużo jak na te głowy tutaj uganiające się w nieznanym kierunku, udające, że się czegoś uczą, przytłoczone, zgnębione.

Woźni. Królowie polskich szkół. To od nich powinna zacząć się każda reforma. W jednej ze szkół pani woźna złamaną (na kim?) linijką przegania dzieciaki (tez zakaz wchodzenia głównym wejściem). Trach, trach tłucze dzieciaki. Bez linijki radzi sobie jedna z nauczycielek. Można oberwać po głowie aż do krwi. Rozmawiamy z dyrektorką – jest przerażoną indolencją władz, które zmniejszają dotacje na szkoły, a najchętniej, to by ją zlikwidowały. Pani dyrektor zajęta walką z władzami nie widzi, albo nie chce widzieć linijki woźnej i ręki Herod - nauczycielki.

Cmentarz żydowski. Po nagrobkach skaczą kilkunastoletni chłopcy. Bawią się w berka. Udajemy, że robimy zdjęcia i podchodzimy blisko. Przyglądają się z zaciekawieniem. Zuza opowiada o napisach na nagrob-

kach. Zaczynamy rozmawiać. Chłopaki mieszkają na „hamówku”, czyli blokowisku znajdującym się tuż przy cmentarzu, rodzice bez pracy, ojciec pijany. Cmentarz jest ich azylem - tu spotykają się, bawią, grają w piłkę – za cmentarzem znajduje się boisko, ale ktoś je zbudował w miejscu gdzie przez większą część roku stoi woda. Tu palą papierosy, piją tanie wina, wciągają klej. Obiecują, że przyjdą na warsztaty.

marzec 2002

Pierwszy dzień warsztatów. Sobota – dzień po skończonych zajęciach w szkole. Ilu przyjdzie. Na kartkach zapisało się – policzyliśmy prawie 700 osób. Rozmawiamy w gabinecie dyrektor SZOK-u. Zaczynają się warsztaty antropologiczno-etnograficzne. Przewidziane dla licealistów i trochę ambitniejszych gimnazjalistów. Podstawy antropologii i etnografii połączone z odtwarzaniem przestrzeni przedwojennego Szydłowca. Na sali jest ponad 50 osób. Głównie dzieciaki z gimnazjów i podstawówek. Przyszli też nasi „koledzy” z cmentarza. Jak tu prowadzić zajęcia przewidziane dla „intelektualnych” hobbystów. Zuza i Ania dzielą grupę na dwie części – dla tej, której się trudno skupić szybko improwizują warsztaty tańca połączone z odgrywaniem scenek. Skutkuje – ale co będzie dalej? Nasi koledzy z cmentarza, którym przewodzi najmniejszy – Bocian nie potrafią się ani na moment skupić. Ich celem jest zaistnienie za wszelką cenę tu i teraz, popisują się przed wszystkimi ale przede wszystkim przed sobą, walczą o hierarchię w grupie. Wygrywa ten, który jest odważniejszy. Niestety jest to popis na głupotę i chamstwo. Skrzywdzeni przez dom, szkołę, czują się silni tylko w grupie, i o pozycje w niej toczą wieczną walkę. Która to już walka bez sensu zabierającą energię, z którą się tu stykamy?

Wyjeżdżamy. Dzieciaki nie chcą nas wypuścić.

Mieszkamy teraz w Zamku. Są tu pokoje gościnne – takie małe mieszkanie, dla specjalnych gości. 300 zł za dobę. Cena zaporowa, żeby przypadkiem komuś nie chciało się tu zamieszkać. Przyjmuje nas kobieta, która pełni obowiązki dyrektora. Państwo z Warszawy, tacy młodzi Udaje nam się wynegocjować prawie 10 razy mniej. I na zajęcia schodzimy po prostu na dół. Nie musimy biegać z materiałami po całym mieście. Ale nie na długo. Tydzień później dowiaduje się, że został po nas bałagan. Więc już nie możemy nocować w Zamku. Jaki bałagan – próbuje się dowiedzieć – krzywo ustawione krzesła i poplamiony obrus. Od czyjegoś widzi mi się zależy, czy będziemy biegać z materiałami przez całe miasto. W „apartamencie” jak tutaj wszyscy nazywają te pokoje, jest popsuta spłuczka, z której cały czas leci woda i nie działa ogrzewanie. Śpiemy w kurtkach. O ósmej budzi nas dzwonek do drzwi – kontrolny nalot z Muzeum „chyba się alarm włączył” – mówi pani zaglądając mi przez ramię do środka.

Kino. Idziemy odpocząć. Nicole Kidman w postaci plazmy, widoczność tak jakbym wchodząc do kina zaraził się wadą wzroku –6, jakaś rura, która ma grać tylko hałasuje, głos wydobywa się z jednej pyrczącej ze sceny kolumny. Na sali poza nami 4 osoby. W portierni przez szklana szybę widzimy wilczura. Rzuca się na nas opluwając szybę. Drzwi na szczęście wytrzymują. Bilety sprzedaje jednoręki właściciel kina. Przediera bilet przytrzymując go kikutem bez dłoni. Po takim wstępie obrazu na ekranie nie robią na nas żadnego wrażenia.

Weszliśmy w rytm warsztatów – w każdy weekend przyjeżdżamy w kilka osób prowadzić warsztaty. Boże, jak dobrze że przynajmniej dom kultury działa bez zarzutu. Panowie woźni otwierają każde drzwi o każdej porze dnia i nocy.

kwiecień 2002

Zaczynamy następne warsztaty. Niestety dzieciaki już zapomniały o nas. Wysyłamy wcześniej plakaty – ale, a to maile nie chcą się otworzyć, a to komuś zapomniało/nie chciało się powiesić plakatów.

Przyjeżdża Tadeusz Rolke. Pokazuje swoje slajdy z miast chasydzkich środkowej Europy poprzeplatane ze zdjęciami przedwojennymi. Na tych przed wojną mnóstwo ludzi, te dzisiejsze to głównie rozpadające się domy, puste ulice. Tylko wietrzące się na płocie pierzyny wyglądają jakby powiesili je dawni mieszkańcy

tych miast. Jak ma się ten cichy i piękny pokaz w sali kinowej Zamku (Radziwiłłów) do tego co oglądają te dzieciaki na co dzień w telewizji. Do łatwo strawnej papki mizdrzącej się do widza tanim udawaniem. Czy któryś z nich poczuło ducha tamtych czasów. Na zajęcia przychodzi Dawid, chłonie wszystko co się dzieje. Od razu dostrzegam jego przejęte oczy. Zawsze dziękuje po warsztatach. Tego skupienia brakuje większości z nich. Późno w nocy szukamy czynnego sklepu. Jak zwykle (w warszawskim tempie) wyjechaliśmy w ostatniej chwili i nie mamy nic do jedzenia. Tadeusz jest pierwszy raz na rynku. Zachwyca się porcjami porównuje ze śródziemnomorskimi miasteczkami. Nagle wyrasta tuż przy nas zwalsty czterdziestolatek zięjący odorem taniego wina. „Rozpier... go cekaemem” wtrąca się w naszą rozmowę. Spod rozdartej koszuli widać źle przyklejony opatrunek spod którego wystaje rana ciętą w okolicach serca. Patrząc jak zareaguje Tadeusz. Mężczyzna ledwie zrozumiałym głosem opowiada nam historię dłużnika, który nie oddał mu za ukradzione komórki. (telefon komórkowy – to następny nieodłączny atrybut życia, temat rozmów, kradzieży, przechwałek, symbol prestiżu). Pobili go, ale on teraz jedzie ich zastrzelić. Wcześniej musi się jednak wepchnąć w kolejkę przed nami i kupić sobie piwo. Pani przez dziurę w drzwiach podaje butelki. Obowiązująca kolejność – najpierw przez otwór przechodzą pieniądze, później towar w plastikowej, cienkiej torbie foliowej, która rozrywa się chwilę później. Próbuje zajrzeć przez to okienko do środka bo trudno tak jakoś kupować z pamięci – ale pani niezadowolona zasłania widok. Po tym śródziemnomorskim ryneczku jeżdżą z piskiem opon sprowadzone z zachodu samochody. Po zmroku nie widać tu normalnych mieszkańców. Na wybiegu pojawiają się maluchy, czarne BMW. Wsiadają z nich krótko obcięci panowie w wieku między 20 a 30. Kobiety są rzadkością. Ubrani zazwyczaj na czarno, w spodnie od dresu, napakowani adorują swoje mechaniczne konie. Są królami, są więc w centrum.

Drugiego dnia idziemy na cmentarz. Majka opowiada o grobach, o symbolach na macewach. Symbolicznie sprzątam cmentarz. Pierwsze zadanie fotograficzne to znaleźć jakieś szczególne miejsce i zrobić sobie zdjęcie na tle wybranej macewy.

Na warsztaty przychodzi coraz mniej dzieci. Może źle informujemy? Przez pół soboty chodzimy z Markiem po mieście i rozwieszamy plakaty. Są wszędzie. Ale to nic nie daje. Robimy śledztwo. Na warsztaty przychodzą głównie nasi ulubieńcy od Bociana. Ale oni odstrasza innych. Poza tym dla nich tak naprawdę prowadzimy warsztaty resocjalizacji, a nie odrywamy ślady przeszłości. Gdzie te 700 dzieciaków, co robią w wolne od nauki soboty? – oto kilka powodów absencji: śpią po imprezie, pada deszcz, są u babci, są na imieninach, oglądają telewizję. No tak przegraliśmy z telewizją. Poza tym okazało się, że nikt nie czyta naszych plakatów. Plakat z informacją, że w następny piątek zaczynają się jakieś warsztaty jest po pierwsze rzeczą którą a. Nikt nie przeczyta b. Jak przeczyta to nie weźmie tego do siebie c. Jeżeli nawet pomyśli, że mógłby przyjść na te warsztaty to w końcu zapomni

Opadły nam ręce. To dla kogo my w ogóle pracujemy? I po co?

Jak znaleźliśmy uczestników naszych następnych warsztatów? Na boisku. Tylko w ten sposób, bezpośrednio, czasem prowadząc fragment warsztatów wprost a ulicy, gdzieś siadać na jakiejś studziencie, na trawie po środku boiska udawało nam się na nowo złapać z nimi kontakt.

maj 2002

Udało się. Mamy następną dotację. Tym razem od Fundacji Batorego. Nasz budżet jest już kompletny.

W maju przyjechały Luba Zarembińska i Lidia Woźniczka z Teatru Stacja Szamocin. Luba rzuciła pracę w mieście w domu kultury i na opuszczonej stacji kolejowej założyła swój teatr. W spektaklach grają mieszkańcy pięcioletniego Szamocina, w którym przed wojną mieszkali Żydzi, Niemcy i Polacy. Przez cały tydzień prowadziły warsztaty teatralne. Przyglądałem się jak z niczego, z dwudziestki dzieciaków powstaje spektakl. Pokaz warsztatowy pt. „A moja babcia mówiła” odbył się na dziedzińcu Zamku. Za scenografię posłużyła ściana muru obronnego i „sofa” jak na fosę mówiła Luba. Wiał silny wiatr, w ostrym świetle reflektorów dzieci grały swoich rówieśników małych Polaków i Żydów sprzed wojny. Z tego bałaganu świata, miasta udało się Lubie wskrzesić kawałek przeszłości.

Po raz pierwszy płakałem gdy tydzień później oglądałem kasetę z nagraniami, gdy w kulminacyjnym momencie pęka szyba. Patrzyłem na to jaką udało nam się uruchomić maszynę, ile ludzkich energii zgromadzić, umożliwić im okazję do twórczej realizacji, przenies ich myśli na chwilę do tamtego innego świata. Z małego okienka z zamkowej wieży dzieci rzucały ledwo widoczne motylki, nad miastem gdzieś w dali słychać było pisk opon. „Ale ważne, ważne jest to aby się nie bać, aby się nie bać wcale” zaśpiewały na koniec. Fosą popłynęły malutkie lampiony. Ludzie bili brawo, a dzieciaki płakały

czerwiec 2002

I tak przyszło lato. Czasem o ósmej budziły nas pierwsze dzieciaki, które przychodziły na warsztaty. W niedzielę o ósmej włączałem Program Drugi, kantaty Bacha przedstawiał zawsze ten sam głos zawsze tłumacząc słowa przytaczał niemiecką wersję „Mein Gott”. Sięgająca absolutu muzyka wznosiła mnie może za wysoko, bo za chwilę miałem zmierzyć się z małymi konsumentami Reality Show, dla których ważne było, że ich kolega zna koleżankę, która ma autograf od .. tu padało nazwisko które powinienem znać. I ja i oni ocieraliśmy się coś co przeczuwaliśmy jako absolut, tylko, że dla mnie był on zakłęty w nutach lipskiego organisty, dla nich w produktach McŚwiata.

10 czerwca przystąpiliśmy do realizacji spektaklu. Chciałem uciec. Wszystko było w proszku. Nie było scenariusza, sprzętu, wybranej sali itd. „Przełóżmy na jesień, będziemy mogli to lepiej przygotować” – uciekałem od wystąpienia w roli reżysera teatralnego. Teraz albo nigdy zawyrokowała Marta. Znowu pożyczony samochód od rodziców. Teraz jeździliśmy do Szydłowca nawet codziennie, 130 km w jedną stronę na kilka godzin, żeby wrócić do Warszawy, bo nie udało się załatwić rzutnika wideo. Ach i zamieszkaliśmy na „hamówku”. Zostaliśmy w atmosferze „skandalu” wyrzuceni z Zamku po tym, jak nasi „bocianowcy” pomagając znieść jakieś materiały ze strychu uruchomili alarm w Muzeum. Potłuczona szybka oraz konieczność odbycia wizyty przez panią z Muzeum w sobotę (dzień wolny) w miejscu pracy przelała czarę. W końcu był argument. Nie pomógł nawet starosta. W środku projektu zostaliśmy na lodzie (czyt. na dziedzińcu), jedyne miejsca to oddalony o dwadzieścia pięć minut schronisko lub motel na przedmieściach. Udało nam się wynająć mieszkanie, ale w bloku, naszymi sąsiadami zostali nasi „kaci”. Stosunki z bocianami uległy zresztą pogorszeniu – ale nie przez „alarm”, tu czuli skruchę, a my byliśmy bardziej źli na pełniących obowiązki niż chłopaków. Idea zamykania się przed złą młodzieżą na cztery spustu jest dobra na krótką metę. Zamek ma fosę ale czasem trzeba pójść do sklepu po mleko, dziecko musi pójść do szkoły a wtedy nie da się uniknąć spotkania w oko w oko z gettem. Nie jest tak, że getto złych żyje oddzielnie. Razem jedziemy na tym samym wózku. Historia pokazała co się dzieje gdy tych „złych” jest dużo i jest im coraz gorzej.

I znowu pomogła nam „Gazeta Wyborcza”. Tłumaczka książki przeczytała o naszym projekcie w „Gazecie” i przez gazetę nas odnalazła, zaprosiła nas na premierę książki „Młodość w czasach zagłady”. Poznaliśmy chłopca z naszej fotografii przed wojną. „Chłopiec” ma teraz 75 lat i mieszka w Londynie. Uratował się dzięki rodzicom, którzy wyważyli kratkę w wagonie do Treblinki. Rodzice zginęli on przeżył. W spektaklu opowiedzieliśmy o jego dzieciństwie, Tomek zagrał Maxa czyli wtedy Menachema.

Cały spektakl zaczyna się snem dziecka. Pawełek zasypia podczas surfowania w internecie. Śni mu się Szydłowiec sprzed wojny. Menachem ma dzisiaj w synagodze barmicwę, dzieciaki w szkole trochę się z niego śmieją, ale i razem bawią, tańczą przy żydowskich piosenkach. I jest Basia. Razem chodzą do lodowni, to podziemia, w których przechowywano lód. Za scenografię służą sznurki z praniem, na których wyświetlamy filmy – po niby-starym Szydłowcu chodzi Menchem, zagląda przez okno do synagogi, połączyliśmy te zdjęcia z archiwalnymi filmami, na których widać żydowski targ, na scenie te obrazy mieszają się, Tomek schodzi z ekranu i staje w słabym świetle żarówki. „Gdzie oni są? – pytają dzieci na koniec spektaklu „No gdzie?”

Pokazaliśmy filmy. „Weisera” Marczewskiego, „Życie jest piękne” i „Daleko od okna” – szczególnie silnie zadziałały w tym miejscu. Odprowadzając dzieciaki do domów czułem się jakbym kroczył przez stworzony przez reżysera filmową makietę miasta (w „Daleko od okna”). Na projekcje przychodziły prawie wyłącznie dzieciak z warsztatów – zapraszaliśmy rodziców, ale „nie mogli przyjść”. W sobotnie wieczory matki sprzą-

tały, gotowały, a ojcowie leżeli przed telewizorami. Przez przypadek odkryliśmy jak dotrzeć do większej liczby mieszkańców. Raz pożyczaliśmy kasetę wideo i zobaczyliśmy, że w krótkim czasie obezła ona kilka rodzin. Prawie wszyscy mają wideo w domu. Tym sposobem całe rodziny mogły obejrzeć zaplanowane w projekcie przez nas filmy.

Raz Bergmana „Fanny i Aleksander” – wytrzymali pół godziny.

Miejscem magicznym okazała się biblioteka pedagogiczna, w której ciemnię urządził Wiesław Wismont – miejscowy fotografik. Do ciemni mogły wejść najwyżej 2-3 osoby, reszta siedziała przy dużym stole oglądając albumy z fotografiami, czasem trochę z nudów i jakby przez przypadek stare książki o Szydłowcu, słuchaliśmy winylowych płyt – Piwnicy pod Baranami, Szopena. Pisaliśmy na starej maszynie do pisania wiersze i listy miłosne, tańczyliśmy do muzyki klasycznej, Tomek jodłował, Wiesiek gonił chłopaków, którzy wyciągali „zakazane” książki. Powstawały zdjęcia, kolaże, tu powstał też projekt kontynuacji warsztatów fotograficznych. Inga została szefową grupy, która nazwali „Młodzi, piękni, bez przyszłości?” – ale ze znakiem zapytania po tym ostatnim. Dostali dotację z programu UE „Młodzież” na aparaty, materiały i wyjazdy na wystawy fotograficzne.

Zaprzyjaźniliśmy się z Małgosią Bernatek szefową domy kultury, w którym rada miasta postanowiła w pewnym momencie zorganizować bazę (!) noclegowo-gastronomiczną. Gdyby nie jej pełne zaufanie do nas (w końcu przyjechaliśmy nie wiadomo skąd, zupełnie się nie znaliśmy) nie mielibyśmy czego szukać w Szydłowcu.

Czego żałujemy?

Żałujemy, że nie udało nam się znaleźć pieniędzy żeby uratować synagogę. Teraz jest tam pub z bilardem i piwem. I chociaż ze starej bożnicy, tak naprawdę pozostały tylko mury... Chcielibyśmy żeby powstało tam małe centrum kultury polsko-żydowskiej, miejsce na warsztaty, i na zebrane przez Sławę Hanusz judaiki.

Czego nam się nie udało z zaplanowanych rzeczy?

Gdy w listopadzie wymyśliliśmy projekt wielu stuknęło się w czoło – jak sobie wyobrażamy, że to co sobie wymyślimy w Warszawie zadziała gdzieś w jakimś miasteczku. Czasem i ku naszemu zaskoczeniu udało nam się wiele.

Planowaliśmy początkowo, że w warsztatach weźmie udział głównie młodzież z liceów, no może trochę ambitniejsi z gimnazjów. Tymczasem w warsztatach wzięli udział głównie gimnazjaliści i to wcale nie tzw. piątkowi. Musieliśmy więc zmienić koncepcję warsztatów, trochę mniej przekazywania wiedzy, trochę więcej kinestetycznych zajęć, bardziej wpływanie na postawy niż na wiedzę. Co o tym zadecydowało - gdy prowadziliśmy zajęcia w liceum odczuliśmy jakieś zwątpienie i marazm, jakby багаż lat, zniszczyły wszelką spontaniczność, szukaliśmy podczas zajęć błysku w oku, zainteresowania, w końcu przyjeżdżają do nich studenci z dużych miast, i można się od nich czegoś dowiedzieć o czekającej przyszłości. Tymczasem oprócz kilku wyjątków, ogólne wrażenie było. Czy zadecydowało o tym przeszłość liceum (samobójstwa), brak dyrektora (tu też zastępstwo), kadra nauczycielska (jedyną metodą wydawało się zastraszanie zamiast autorytetu).

Nie udało nam się zorganizować spotkania młodzieży z Polski i Izraela. Po kilku próbach i rozmowach okazało się to mało możliwe. Raz ze względu na sytuację w Izraelu, dwa nasi uczestnicy są dużo młodszy o tych, którzy przyjeżdżają do Polski, a ściągnięcie dzieciaków byłoby o niebo trudniejsze przy tym jak widać jak bardzo boją się o siebie (ochrona podczas wycieczek po Warszawie). Uważamy, że warto podjąć wysiłek przerwania budujących stereotyp Polski- jako kraju współwinnego Holocaustu. Młodzi ludzie z Izraela nie powinni oglądać w Polsce wyłącznie miejsc zagłady swojego narodu.

Nasze dzieciaki i młodzież kilka razy deklarowali chęć spotkania się z rówieśnikami z Izraela. Zawsze gdy się tego domagali – miło nas to łaskotało.

I jeszcze Marzanna de Latour. Dziennikarka radiowa, która przez cały projekt towarzyszyła naszym zmaganiom. Powstał reportaż który jest zapisem tego jak się rodziliśmy, pokazujący też tło społeczne, nasze dzieciaki. Dla nas jest „dotykającym” zapisem naszej drogi, naszego wysiłku.

16 czerwca pokazaliśmy nasz spektakl. Do małej sali kinowej (którą przez dwa dni czyściliśmy z przeszkadzających przedmiotów scenograficznych typu kula dyskotekowa, grafiki, gobeliny itd.) weszło ponad 80 osób. Dzieciaki występowały na bosy ale któreś „zapomniało” umyć nogi. Zapach przeszkadzałby w normalnym odbiorze pomyślałem – i mimo tego, że spektakl musiał rozpocząć się – wyprowadziłem towarzystwo przez zdziwiony tłumek zebrany pod drzwiami do łazienki, tłumacząc to rytualnym obmyciem potrzebnym do gry w spektaklu. Dzieciaki zakrzyknęły z radości i ruszyliśmy białym węzłem (wszyscy mieli białe koszule) do łazienki.

Od południa na rynku pokazywaliśmy zdjęcia, które powstały podczas projektu. Na sztalugach prezentowaliśmy plansze na których opisaliśmy wszystkie warsztaty. Na oddzielnych portretom dzieciakom towarzyszyły zebrane przez nich krótkie relacje o żydowskiej przeszłości Szydłowca. Na moment rynek zyskał śródziemnomorski klimat. Ludzie wychodzili z kościoła i całymi rodzinami oglądali wystawę. Spokojne niedzielne popołudnie. Radość ze zbliżającego się lata, wakacji, uroczysta podniosłość. Kończymy nasz półroczny projekt. Zaprzyjaźnieni muzycy grali na skrzypcach, bębnach (Gracjana która pierwsza opowiedziała nam o Szydłowcu), Kasia, która mieszkała przez jakiś czas w Szydłowcu (uczyła się grać od muzyków ludowych). Rozwinęliśmy olbrzymi papierowy chodnik, na którym dzieciaki za pomocą wycinanych zdjęć opowiadały o projekcie. Wojskowa, dokładna mapa Szydłowca okolic wzbudzała największą sensację.

Po spektaklu pokazaliśmy jeszcze stare zdjęcia Szydłowca, które przerobiliśmy na slajdy. Do tego zagrała muzyka na żywo.

Wieczór skończy się tortem lodowym od dzieciaków dla Marty, która obchodziła wtedy urodziny. Z tym tortem było oczywiście co niemiara problemów, żeby się nie roztopił. Zjedliśmy go czyszcząc nasze talerzyki z piór, które grają ważną rolę w spektaklu, a które jeszcze o sobie przypominały dwukrotnie. Otóż już po spektaklu i torcie, nagle chłopaki grający w spektaklu zaciągnęli mnie na salę i pokazali coś co było dla mnie jedną z większych satysfakcji z tego projektu. W ukryciu przed wszystkimi puścili fragment wesołej sefardyjskiej melodii, do którego zatańczyli, w świetle dwóch lampek, rzucając w górę pióra, bahiczna uczta radości.

Ale finał odbył się na drugi dzień. Gdy ledwie żywi zajechaliśmy pod Zamek, wjeżdżając na dziedziniec żeby zabrać sprzęt i scenografię podjechaliśmy pod same schody i zobaczyliśmy przez przednią szybę, zderzyliśmy się prawie nos w nos ze wzrokiem sprzątaczek, który nakazywał nam natychmiastowe sepuku i karahiri w jednym. „Kuuuuurnik! Kuuuuuurnik zrobiliście”. To była jedna z pierwszych recenzji naszego spektaklu. Posprzątaliśmy „kurnik” sami, żeby paniom sztuka się źle nie kojarzyła i wróciliśmy do Warszawy. Wcześniej jednak, na własny pohybel i zgubę, ogłosiliśmy „Balladę o Szydłowcu 2”.

Włączamy światło. Widzę na niektórych twarzach łzy – największa nagroda.

Jest spektakl. Co dalej? Czy warto go pokazywać poza Szydłowcem, czy jest na tyle uniwersalny?

sierpień 2002

Latem liczymy pieniądze. Tu uskrobać, tam, dołożyła Fundacja Wspomagania Wsi i udało się. Jedziemy na 10 dni do Szamocina. Nie starczyło na wynajęcie autobusu. Cała menażeria, z materiałami, zdjęciami,

projektorem wideo, kamerami i plecakami przesiadamy się z pociągu do pociągu za każdym razem prawie gubiąc jakiś pakunek.

W Szamocinie pracujemy nad spektaklem. Znowu na najwyższych obrotach. Niby wszystko przyjemnie, niby spokojnie, nikt nie ma tremy, ale widać wysiłek. Tomek znowu marudzi, nie chce zagrać. Bije Ewelinę swoją dziewczynę ze spektaklu (i trochę w życiu). Ewelina płacze – mówi, że nie zagra. Tomek przeprasza, ale przeprosiny zostają odrzucone. Płacze Tomek. Też nie zagra. Za 10 minut premiera szamocińska, a para głównych aktorów czerwona od łez. Ja dostaję szału. Robię awanturę. Dzień wcześniej nie odbyła się próba generalna bo Damian prawie sobie uciął palca (pewnie tego żydowskiego) połowym łożkiem, a samochód którym pojechaliśmy do szpitala wpadł w rozkopaną dziurę. W nocy układaliśmy z kostki brakujący fragment drogi. W dodatku sam obsługuję wszystkie video, odtwarzacze światła, których na początku było mało, ale teraz co sekundę wciskam jakiś guzik. Światła. Podchodzi Lidia i mówi, że cały czas płakała. Jezus, przecież to miała być ballada. W szalonym tempie powstają trzy wystawy fotograficzne, które prezentujemy podczas dożynek i na plaży nad jeziorem „Portrety” – robione sobie nawzajem przez dzieciaki, „Szamocin – szósta po południu”, i „Kiedyś” – o naszej wycieczce na cmentarz w poszukiwaniu grobów żydowskich i niemieckich. A i jeszcze wirus. Po Polsce krążył wirus. Dzieci wymiotowały na prawo i lewo. I w dół (na plecaki, buty i śpiwory z antresoli na której spali). My spaliśmy po dwie, trzy godziny, a czasem w ogóle. Zachciało nam się niańczyć cudze dzieci to mamy. O piątej nad ranem łapię za mopa i szoruję podłogę – co wzbudza powszechny entuzjazm „o prezes zmywa”.

Miasteczko Krajeńskie – piękny spektakl w kościele. Wit Stwosz. Dzieci graj aniołki. Mają skrzydła z wikliny. Przed spektaklem jedziemy autobusem. Wczesne popołudnie. Zatrzymujemy się przy domach, wsiadają kolejni mieszkańcy Szydłowca – aktorzy w spektaklu. Na miejscu piękna wieś, kościół na górze, obok plebania z czerwonej cegły, kwiaty w ogrodzie, przed kościołem próba miejscowego chóru, próba instrumentów, w ciepłe wieczorne powietrze sączy się dźwięk klarnetu. Spokój. Jakieś dzieci na ryneczku. Siedzimy na jakimś pomniku i pijemy kawę. Podchodzi chłopiec z zabandażowanym okiem. Opowiada o tym jak zajrzał do komina, który murował jego ojciec i wpadł mu cement do oka. Dzieci wożą się na wózku przyczepionym do roweru. Może tu kiedyś jeszcze przyjedziemy, zorganizujemy jakiś projekt?

Wracamy do Szydłowca. Jest po dwunastej w nocy. W drodze powrotnej dostaję szału – bagaże zostały bez opieki, wszyscy gdzieś sobie poszli. Dzieciaki złe na nas bo prowiant im się skończył a pieniądze wydały np. na hot-dogi, chpisy, lody, coca-colę itp. Wszyscy (ja, Marta i Michalina) chorujemy i przez miesiąc dochodzimy do siebie. Paranoja. Po co to wszystko? Chyba zwariowaliśmy. Ubieramy się w czyste ciuchy i biegniemy w miasto. Najpierw mały korek, później dresiarские centrum Warszawy i już zaczynamy myśleć o następnym projekcie.

Naszym sukcesem jest to, że o 21 dzwoni od nas dyrektorka szkoły, która chce się z nami spotkać, żebyśmy pomogli jej w pisaniu wniosków o dotacje, że przyszedł do nas ksiądz, zainteresowany tym co się dzieje, że dzieciaki ze świetlicy przy kościele będą chodzić na zajęcia fotograficzne. Że zorganizowanie jakiegokolwiek wydarzenia kulturalnego jest teraz dla nas kwestią dwóch telefonów, że udało nam się znaleźć kilka osób, w których zasialiśmy chęć robienia czegoś na własnym podwórku. Teraz będziemy obserwować ich przyszłość.

Czy zmienił się stosunek społeczności do innych kultur, a w szczególności żydowskiej?

Na pewno udało nam się opowiedzieć ale nawet dzieciaki, które brały kilka razy udział w warsztatach, po miesiącu znowu pytały się co to jest macewa. Dlatego bardziej staraliśmy się działać na postawy. Na to, że znaleźliśmy z dziećmi ich rodzicami wspólny język, a przez to może w jakiś sposób wpłynęliśmy na ich postawy. „Nie znamy swoich korzeni. Każdy z nas może mieć różne pochodzenia. Nie wiem na przykład czy ja nie mam żydowskiego palca” – tak powiedział nam mimochodem, nie wiadomo skąd i dlaczego, trzynastoletni Damian podczas którejś z wspólnych wycieczek.

(spisał P.S.)